

BŁOGOSŁAWIENSTWO POCIESZENIA

„Niewiasto, czemu płaczesz? Kogo szukasz?”
— słowa Jezusa do Marii Magdaleny (J 20, 15).

„Będę prosił Ojca, a innego Pocieszyciela da
wam” (J 14, 16).

„Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni”. Drugiego błogosławieństwa z Ewangelii według św. Mateusza (5, 4) nie da się odłączyć od analogicznego błogosławieństwa u Łukasza: „Błogosławieni wy, którzy teraz płaczecie, albowiem śmiać się będziecie” (Łk 6, 21), któremu towarzyszy odpowiednio „biada”: „Biada wam, którzy się teraz śmiejecie, albowiem smucić się i płakać będziecie” (Łk 6, 25 b)¹. Błogosławieństwo to jest najbardziej zaskakujące, niejasne, różnorodnie wyjaśniane, albowiem łatwo jest odwrócić jego sens, a zarazem jest ono najbardziej powszechne i realistyczne: dotyka, podobnie jak pozostałe, samego sedna Objawienia — paschalnej tajemnicy Chrystusa.

Znak alienacji

Błogosławieństwo płaczących może się jawić w aktualnej epoce podejrzeń (co pozostawia swe ślady także wśród wierzących) jako szczególnie znak alienacji chrześcijańskiej. Obecnie, kiedy nastawienie „bolesne”, dolorystyczne ustąpiło — publicznie lub przynajmniej nieświadomie — miejsca postawie „bez-bolesnej” (mięszczącej się jednak w tym samym rejestrze interpretacyjnym) ogłaszanie uciśnionych tego świata szczęśliwymi dlatego, że zostaną kiedyś pocieszeni w innym świecie, zdaje się stanowić swoiste urąganie wobec prawa człowieka do szczęścia i do pełnej odpowiedzialności twórczej. Różnica polega jednak na tym, że postawa „bolesna” była uwłaczaniem miłości Bożej.

Spór dotyczy obecnie przesadnego stosowania tego błogosławieństwa w łonie chrześcijaństwa pojękującego, budzącego i oczekującego na litość, co staje się szczególnie nieznośne dla człowieka współczesnego, zwłaszcza gdy dostrzeże, że z pewnym upodoba-

¹ Komentarz klasyczny, zob. J. Dupont, *Les Béatitudes*, t. II, Paris 1969², 35—37, 91—142; i t. III, Paris 1973², 65—78, 545 nn.

niem akcentuje się właśnie to błogosławieństwo. Człowiek współczesny buntuje się bowiem na samą myśl o rezygnacji i błąka się między swego rodzaju znieczulicą, jaką odkrywa — jak mu się wydaje — w Ewangelii, traktując ją jako opium dla ludu, a nadmiernym działaniem — jako swoistą jego przeciwwagę. Czyż bowiem, w ostatecznym rozrachunku, błogosławieństwo to nie zamierza — samą swą ogólnikowością i biernością — wskazywać, że ofiara (losu) jako taka jest — właśnie z racji bierności — jedynym jego adresatem? Gdy zatem pozostałe błogosławieństwa: ubogich duchem, cichych, łaknących sprawiedliwości, starających się o pokój, mających czyste serca — mogą być prezentowane (choć nie zawsze tak bywa) jako pozytywne i aktywne, to trudno jest współczesnemu człowiekowi dostrzec ten dynamizm w błogosławieństwie drugim. Mentalność współczesna, która zespala podejrzenia Nietzchego ze zdemaskowaniem „złudnej przyszłości”, nie czyni z błogosławieństwa uciśnionych i płaczących czegoś pożądanego lub godnego uwagi.

Od psychologii do teologii

Niebezpieczeństwo wcale się nie zmniejsza, gdy kładzie się akcent na łyzy, nieszczęścia i cierpienie, pomijając przy tym radość płynącą z rekompensaty — tak, Mateusz mówi wyraźnie o nagrodzie (Mt 5, 12) — pocieszenia. Ale i tu łatwo może się zagnieździć pewne niezrozumienie, albowiem samo pojęcie sugeruje już aktywność. To pewne, że należy je rozumieć tak, jak podaje je Objawienie, a więc z całym ładunkiem treści i całą rzeczywistością Odkupienia². Ale przecież zawsze, gdy podchodzi się tylko psychologicznie, a nie teologicznie, samo zrozumienie tajemnicy chrześcijańskiej staje się miałkie, czcze, spłycone, a nierzadko i wykoszlawione. Nie uwzględnia bowiem ono całego ciężaru doktryn, które od tysiącleci mieszczą się na innej płaszczyźnie, w innym niejako wymiarze, a mianowicie w wymiarze bytu lub ducha. Jeżeli obecnie różne religie wschodnie pociągają człowieka, a zwłaszcza młodzież, to nie dlatego, że więcej jest w nich dymu, kadzidła, kwiatów, względnie medytacji, ale dlatego, że swą głębią przekraczają znacznie wymiar psychologii, głównie wtedy, gdy są w stanie zanegować lub przewyciężyć cierpienie.

Należy zatem przyznać, że znajdujemy się w okresie — z którego, być może, powoli już wychodzimy — ogólnej litości, społecznego sentymentalizmu, który doprowadził do tego, że stali się

² Por. Y. de Andia, *Bóg wszelkiej pocięchy* (artykuł następny).

w pewnej mierze cynikami ci, którzy nie zgadzali się choć trochę z taką sytuacją. Środki społecznego przekazu grają nieustannie na strunie uczuciowo-zmysłowej: głód, wojna, katastrofy wkradają się w nasz dobrobyt, a przynajmniej w nasze dobre samopoczucie, wywołując obrazy szokujące i zakłócające nasz intelektualny komfort. Obrazy te domagają się od nas — co jest oczywiste i naturalne — uczucia litości i solidarności, a postawy te dochodzą niekiedy do głosu w „modlitwie wiernych” podczas Mszy niedzielnych. Osobiście obawiam się jednak, że błagania takie mają tak niewiele treści teologicznej, są tak jałowe i puste, iż nie są w stanie wywołać w nas reakcji typowo teologicznej i — z niewielkimi chyba wyjątkami — prowadzą jedynie do wytworzenia namiastkowej, powierzchownej i przelotnej solidarności z udręczonymi i uciśnionymi. Czyż na miejsce artystycznego Saint-Sulpice, które ośmieszamy, nie wprowadziliśmy słownego Saint-Sulpice, w którym patos maskuje nieuchronne pojawienie się nowego „dobrego sumienia”?

Albert Cohen w swych zapisach³ pełnych liryzmu ujawnił z właściwą sobie pasją i wyrazistością wspomniane wyżej zagubienie chrześcijan: „Kochajcie się wzajemnie” — powiedział do nich Jezus, „Syn mojego ludu”. Oni zaś tłumaczą te słowa: „śmiejcie się jedni z drugich” i doświadczają nawet szczerych wzruszeń, ale bardzo lekkich: czują się anielsko, są zadowoleni z siebie... Autor ten dodaje: „Może nazwą mnie głupcem, ale znam naprawdę drogi wiodące do autentycznej miłości bliźniego, miłości, która jest czułością, a którą nazywam czułą litością, będącą jedyną możliwą miłością bliźniego, jedyną prawdziwie odczuwalną”.

Od teologii do teologiczności

Jeżeli nawet „drogi prawdy”, o jakich mówi A. Cohen, są bardzo głębokie, piękne i bezcenne, to przecież można paradoksalnie powiedzieć, że właśnie błogosławieństwo pocieszenia zmierza jeszcze dalej i pozwala nam lepiej, łatwiej, dokładniej wyjść z tego płytkiego sentymentalizmu wobec nieszczęśliwego bliźniego, o ile tylko podejździe się do tegoż błogosławieństwa najpierw teologicznie, a w konsekwencji i teologalnie.

Czy ucisk, udręka nie jest najpierw wśród nas, w nas samych, i czy nie jest najpowszechniejszą z rzeczywistości? Od depresji po bardzo tragiczne choroby (tragiczne o tyle, że skutek ich jest z góry wiadomy), od bólu do dezorganizacji cielesnej i duchowej,

³ A. Cohen, *Carnets 1978*, Paris 1979, ss. 164 i 168.

od samotności, nawet niezbyt bolesnej, aż po stopniową utratę nadziei — ucisk i udręka są wśród nas, chociaż nie zawsze to sobie uświadamiamy, a sprawy bardziej odległe mocniej niekiedy nas poruszają i nami wstrząsają. Gdyby się chciało wydać jakąś współczesną Księgę Hioba, jej tłem i miejscem akcji mogłyby być z powodzeniem lśniące czystością kliniki szwajcarskie, bardzo zaniedbane i poniekąd śmiercionośne szpitale Trzeciego Świata, względnie zgliszcza i ruiny po bratobójczych wojnach lub waśniach. Sam Hiob może być również, z powodzeniem, człowiekiem współczesnym, podobnie zresztą jak Rachel⁴, która nie chce i nie daje się pocieszyć, ale wzywa przecież, bądź też wskazuje na Wybawiciela⁵.

Chrześcijańska odpowiedź na tajemnicę cierpienia, ucisku, udręki nie może się ograniczać do wzruszenia czy sympatii — takich, jakie okazywali Hiobowi jego rozmówcy i przyjaciele; oczywiście, zgoła bezowocnie i bezskutecznie. Odpowiedź ta zawiera się we Współcierpieniu, w postaci dziewiczej Piety, w łzach Magdaleny, w chuście Weroniki. Bez patosu i rozgłosu! rozdzierające serce milczenie, niepewne oczekiwanie, czule i delikatne działanie.

Iluzoryczne jest dążenie do postawienia siebie na miejscu osoby udręczonej, której ból utożsamia się poniekąd z samym jej jestestwem. Pożądane byłoby natomiast umiejętne ustawienie się obok, przy — podobnie jak osoby pod Krzyżem, jak Maryja w hymnie *Stabat Mater*, jak Niepokalana Matka litości, Matka bolesna, której święto, obchodzone 15 września, czerpie cały swój blask z uroczystości Podwyższenia Krzyża. Albowiem tylko Chrystus jest w stanie utożsamić się z człowiekiem udręczonym; On zajął zresztą, i to na zawsze, to właśnie miejsce. My natomiast możemy jedynie starać się rozpoznać Go w rysach osoby cierpiącej (por. Mt 25, 31-46). To zaś zobowiązuje nas do definitywnego odrzucenia ucisku czy udręki jako takiego odkupienia, które dawałoby nam samo przez się prawo dysponowania nim dowolnie tak, jak byśmy mogli się stać właścicielami Bożej pociechy. Jest tylko jeden jedyny Odkupiciel i Jemu powinniśmy dać głos — chociaż może On także, mocą łaski i przez nią, mówić w nas i przez nas; jest też jeden jedyny Inny Pocieszyciel — Duch Boży. I tylko wiara, nadzieja i miłość — jako że są mową Bożą — zdobywają się na to, by w milczeniu pocieszać.

W tym znaczeniu błogosławieństwo płaczących zespala się

4 Por. X. Tilliette, *Tryptyk udręki* (artykuł w tym numerze).

5 „Ja wiem, Wybawca mój żyje” (Hi 19, 25).

w pełni z realizmem Wcielenia i Odkupienia. Szczęśliwi są ci, którzy płaczą; ale dodajmy natychmiast, choć tylko na ten moment: szczęśliwi są także ci, którzy płaczą wraz z nimi. Jest to najbardziej fizyczne — by tak powiedzieć — najbardziej konkretne ze wszystkich błogosławieństw. Łzy płyną, zraszają, przynoszą ulgę i — przede wszystkim — są widoczne⁶. J. Dupont dobrze wyjaśnił, że odnosząc do strapionych, uciśnionych, nie oddajemy właściwie greckiego imiesłowu *pentountes*, ani kryjącego się za nim pojęcia hebrajskiego lub aramejskiego. Tymczasem w pojęciach tych chodzi nie tyle o ból ujawniony, wyrażony na zewnątrz, co o udrękę, ucisk, smutek tak wielki wewnętrznie, że ujawnia się on na zewnątrz⁷.

Przypomnijmy także, że Jezus płakał dwukrotnie (według relacji Ewangelii): nad Jerozolimą i nad grobem Łazarza, a konkretniej rzecz biorąc: nad odrzuceniem Zbawiciela (por. Łk 19, 41-44) i nad pozornym zwycięstwem śmierci, która dotknęła tak mocno świadków i najbliższych (por. J 11, 35). Oznacza to, że współczucie i niesienie pociechy tym, którzy płaczą, opiera się na nadziei na powrót Zbawiciela oraz na wierze w zmartwychwstanie. „Niewiasto, czemu płaczesz? Kogo szukasz?” (J 20, 15)⁸. Niesienie pociechy strapionym ma sens o tyle, że w teologicznym patrzeniu na misterium paschalne⁹, dostrzega się w tej tajemnicy faktyczne zwycięstwo Chrystusa nad cierpieniem i śmiercią — zwycięstwo wciąż przypominane, bo upamiętnione (por. J 16, 13) — aktualizowane nieustannie przez Innego Pocieszyciela, Parakleta: „Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Wy będziecie płakać i zawodzić, a świat się będzie wesoślił. Wy będziecie się smucić, ale smutek wasz zamieni się w radość” (J 16, 20).

tłum. ks. Lucjan Balter SAC

⁶ Por. Dom R. Le Gall, *Czystość serca i dar łez*, *Communio* 8 (1988) 97—110; Dom L. Regnault, *Les Pères du désert à travers leurs apophtegmes*, Solesmes 1987, s. 163—171.

⁷ J. Dupont, dz. cyt., t. II. s. 37.

⁸ Por. I. Hausherr, *Penthos*, Rome 1944.

⁹ Por. artykuł O. Boulnois w niniejszym numerze.